

NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

ALEX KAWA

KOLEKCJONER



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

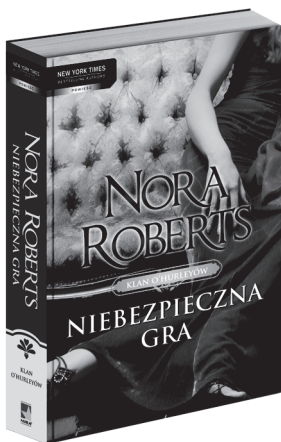
Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

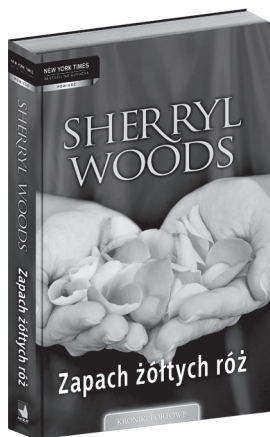
Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [e-booksweb.pl - audiobooki, e-booki](#).

KOLEKCJONER

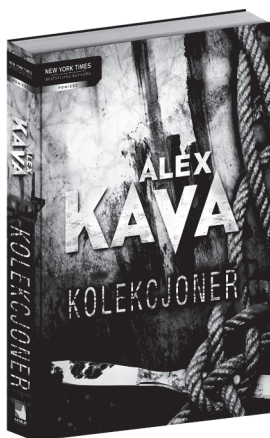
W marcu 2011 ukazą się:



NORA ROBERTS
Niebezpieczna gra



SHERRYL WOODS
Zapach żółtych róż



ALEX KAVA
Kolekcjoner



DIANA PALMER
Grzechy młodości

Kolejne tytuły w sprzedaży już w kwietniu

ALEX KAVA

KOLEKCJONER

Przełożyła:
Katarzyna Ciężyńska



Tytuł oryginału:
Damaged, A Breath of Hot Air

Pierwsze wydanie:
Doubleday, a division of Random House, Inc., New York, 2010

Redaktor prowadzący:
Grażyna Ordega

Opracowanie redakcyjne:
Władysław Ordega

Korekta:
Ewa Popławska, Władysław Ordega

© 2010 by S.M. Kava, 2010 by S.M. Kava and Patti Bremmer

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeX[®], Warszawa

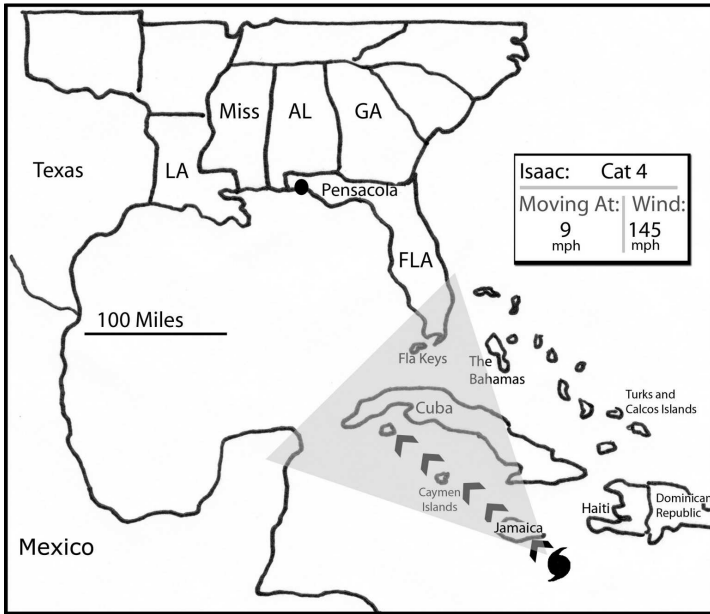
ISBN 978-83-238-8113-1

Alex Kava

Kolekcjoner

Przełożyła
Katarzyna Ciężyńska

*Sobota
22 sierpnia*



Isaac kat.4

Prędkość huraganu: 14,4 kilometra na godzinę

Prędkość wiatru: 232 kilometry na godzinę

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Elizabeth Bailey nie podobało się to, co zobaczyła. Nawet teraz, kiedy helikopter H-65 zawisł niecałych sześćset metrów nad wzburzonymi wodami Zatoki Meksykańskiej, przedmiot, który unosił się na wodzie, nadal przypominał jakiś pojemnik, a nie wywróconą do góry dnem łódź. Liz nie dostrzegła machających rozpaczliwie rąk ani nóg czy wylaniających się z fal ludzkich głów. Jej zdaniem nie było tam nikogo, więc dalsza akcja nie miała sensu. Jednak pilot, komandor porucznik Wilson, uparł się, że należy to sprawdzić, co oczywiście oznaczało, że zająć ma się tym Liz.

Choć dopiero dwudziestosiedmiolatka, a już weteranka Straży Wybrzeża, technik ratownictwa klasy trzeciej Liz Bailey doskonale wiedziała, że w Nowym Orleanie w ciągu dwóch dni po huraganie Katrina uratowała więcej osób, niż Wilson podczas całej swojej dotychczasowej kariery. Spuszczano ją z pokładu na naruszone przez huragan balkony, podrapała sobie kolana na zniszczonych przez wiatr dachach i brnęła przez brudną, zaśmieconą i cuchnącą jak ścieki wodę.

Nie odważyła się jednak choćby o tym wspomnieć.

W tej chwili nie miało żadnego znaczenia, w ilu akcjach poszukiwawczych i ratowniczych brała udział. W bazie sił powietrznych Marynarki Wojennej była nowa, a to znaczy, że po raz kolejny musiała udowodniać swoją wartość. Na domiar złego w pierwszym tygodniu pracy w szatni dla kobiet ktoś przykleił przedrukowane z serwera zdjęcia Liz zamieszczone w dwutysięcznym piątym roku w magazynie „People”. Jej ówcześni zwierzchnicy uważali, że obszerny ilustrowany artykuł to świetna reklama dla Straży Wybrzeża, zwłaszcza gdy inne rządowe i wojskowe agencje obrywały ciężki za swoje działania podczas huraganu Katrina. Jednak w organizacji, w której skupienie uwagi na jednostce i ego groziło zakłóceniem pracy zespołowej, jej niechciana sława mogła okazać się dla kariery śmiertelnym ciosem. Pięć lat po publikacji artykułu nadal ciągnęło się to za nią jak przekleństwo.

W porównaniu z tym prośba Wilsona wydawała się banalna. Co z tego, że unoszący się na wodzie kontener mógł być zmytą przez fale z pokładu łodzi rybacką lodówką? Co jej szkodzi sprawdzić? Poza takim drobiazgiem, że zadaniem ratowników wodnych jest ratowanie cudzego życia nawet z narażeniem własnego, a nie wyławianie z wody martwych przedmiotów. Prawdę mówiąc, istniała w tej kwestii pewna zasada. W organizmach kilku ratowników, których poproszono o wyciągnięcie na brzeg zbelowanych narkotyków, stwierdzono obecność substancji narkotycznych. Prawdopodobnie doszło do tego na skutek bliskiego kontaktu z wyławianym ładunkiem. Uznano wtedy, że ryzyko jest zbyt duże. Widocznie Wilson nie zapoznał się z odpowiednią notatką służbową.

Poza tym ratownicy mieli także prawo odmówić opuszczenia śmigłowca. Innymi słowy, Liz mogła oznajmić komandorowi porucznikowi Wilsonowi, który nie wylatał

jeszcze nawet tysiąca godzin, że „nie, do diabła”, nie skoczy do tej wzburzonej wody po dzienny połów jakiegoś rybaka.

Wilson obrócił się na siedzeniu i spojrzał na Liz. Z tą swoją kwadratową szczęką przypominał boksera, który szykuje się do ciosu. Przyszpilił ją wzrokiem, w jego oczach pojawił się groźny błysk. Dla większego efektu uniósł osłonę oczu swojego kasku. Nie musiał głośno mówić tego, co mówił język jego ciała: „Bailey, jesteś primadonną czy członkiem załogi?”.

Nie była głupia. Wiedziała, że jako kobieta ratownik należy do rzadkiego gatunku, wszak było ich mniej niż tuzin. Przywykła do tego, że stale musi udowadniać, ile jest warta. Wiedziała, na co naraża się w wodzie, ale знаła też zagrożenia na pokładzie helikoptera. Będzie musiała zaufać tym mężczyznom, że wciągną ją z powrotem, kiedy zawisnie na linie dwadzieścia parę metrów niżej, nad rozszalałym morzem, popychana przez wiatr.

Wcześniej nauczyła się, że jej głównym zadaniem jest wykonanie określonej liczby skomplikowanych popisów ekwilibrystycznych, żeby utrzymać równowagę. Powinna też być absolutnie niezależna i zdolna do samodzielnego działania, choć wiedziała przy tym doskonale, jakie ma słabe punkty. Jej życie znajdowało się w rękach załogi helikoptera. Tego dnia i w przyszłym tygodniu, i jeszcze w następnym, będzie zależna od tych właśnie ludzi. Dopóki nie uznają, że naprawdę jest coś warta, pozostanie dla nich „wodnym ratownikiem”, a nie „ich wodnym ratownikiem”.

Liz zatrzymała dla siebie te wątpliwości. Unikała wzroku Wilsona i udawała, że bardziej interesuje ją wzburzona woda na dole. Ograniczyła się do słuchania. W kaskach mieli zainstalowany specjalny system łączności

CIS. Komandor porucznik Wilson właśnie zaczął wykladać swoją strategię, mówiąc drugiemu pilotowi, porucznikowi Tommy'emu Ellisowi, i mechanikowi pokładowemu, technikowi ratownictwa klasy trzeciej Pete'owi Kesnickowi, żeby przygotowali się do opuszczenia ratownika i kosza. Zmniejszył też wysokość z sześciuset do około dwustu czterdziestu metrów nad poziom wody.

– To pewnie pusta lodówka na ryby – rzekł Kesnick.

Liz patrzyła na niego kątem oka. Kesnickowi też było to nie w smak. Na spalonej słońcem i wyniszczonej twarzy najstarszego członka załogi w kącikach oczu i warg widniały zmarszczki, które nigdy się nie zmieniały, nie pozwalały odgadnąć, czy jest zły, czy może zadowolony.

– Albo kokaina – odparł Ellis. – W Teksasie morze wyrzuciło na brzeg pięćdziesiąt kilo kokainy.

– Na plażę McFaddin – wtrącił Wilson. – Była szczelnie zapakowana w grubą plastikową folię. Ktoś nie odebrał przesyłki albo spanikował i pozbył się towaru. Możemy mieć do czynienia z podobną sytuacją.

– W takim razie czy nie powinniśmy raczej przekazać przez radio współrzędnych i poprosić, żeby wyłowił to kuter? – spytał Kesnick, zerkając na Liz.

Zrozumiała przekaz. Poprze ją, jeśli odmówi wykonania zadania.

Wilson zauważył to spojrzenie.

– Ty decyduj, Bailey. Co chcesz zrobić?

Nadal nie patrzyła mu w oczy, nie chciała mu dać tej satysfakcji i ujawnić choćby cienia wahania.

– Powinniśmy użyć deski ratowniczej zamiast kosza – oznajmiła. – Będzie ją łatwiej umieścić pod pojemnikiem i przypiąć.

Świadoma, że go zaskoczyła, zdjęła kask, przerywając

połączenie. Jeśli Ellis czy Kesnick mieli na jej temat coś do powiedzenia, swoją pozorną nonszalancją rzuciła im wyzwanie, żeby to uczynili.

Wcisnęła kosmyki włosów pod ciasny kaptur i włożyła lekki kask ratownika, po czym zapięła pas na szelkach, włożyła przez głowę pas ratowniczy, sprawdziła hak i mocowanie liny. Na koniec przesunęła się do drzwi helikoptera, przykucnęła i czekała na sygnał Kesnicka.

To znaczyło, że musi na niego popatrzeć. Robili to już co najmniej sześć razy, odkąd trafiła do bazy sił powietrznych marynarki. Podejrzewała, że Pete Kesnick traktuje ją tak samo, jak traktował innych ratowników przez ostatnich piętnaście lat swojej kariery jako mechanik pokładowy i operator wciągarki. Nawet w tej chwili nie odgadywał jej zamiarów, choć jego stalowoniebieskie oczy przypatrywały się Liz chwilę dłużej niż zwykle, zanim spuścił osłonę oczu.

Postukał ją w górną część klatki piersiowej. To był sygnał oznaczający gotowość – dwa palce w rękawiczce trafiły w obojczyk Liz. Pewnie w przypadku ratowników płci męskiej wyglądało to trochę inaczej. Liz było to obojętne. Ten drobiazg wynikał przede wszystkim z szacunku dla niej niż z czegokolwiek innego.

Pokazała Kesnickowi uniesione kciuki, w ten sposób dając znak, że też jest gotowa. Kiedy opuszczał ją, cały czas kontrolowała pas ratowniczy. W pewnym momencie Kesnick zatrzymał wciągarkę. Liz poprawiła się, a lina zacisnęła się mocniej. Odwróciła się do Kesnicka i znów uniosła kciuki, po czym zaczęła opadać do kotłującej się wody.

Nie dojrzała w falach żadnych ludzi. Pojemnik był spory. Liz szacowała go co najmniej na metr długości i pół metra szerokości i głębokości. Teraz już była pewna, że

sfatygowany kontener z pomalowanej na biało nierdzewnej stali to rybicka chłodziarka. Postrzępiona lina mocująca przywiązana do uchwyty klapy unosiła się na wodzie. Była zniszczona, ale nie przecięta. Świadczyło to o tym, że właściciel łódki nie zamierzał jej porzucić. Liz chwyciła grubą linę szerokości około trzynastu milimetrów, splecioną z jaskrawożółtej i niebieskiej przędzy, i przeciągnęła ją przez swoje szelki, żeby chłodziarka nie odplynęła pod wpływem ruchu śmigieł.

Potem dała Kesnickowi sygnał: uniosła obie ręce, a następnie prawą ręką dotknęła nad głową lewego łokcia. Była gotowa przyjąć z góry deskę ratowniczą.

Kołysząca się na falach łódka nie była jej posłuszna, na przemian ciągnęła ją i popychała, nie mogła jednak odplynąć dalej niż na długość umocowanej do szelek liny. Po piętnastu minutach, dopiero za drugim razem, Liz zdołała przymocować łódkę do deski ratowniczej. Zacisnęła pasy, przyczepiła je do liny i znowu uniosła rękę, dając znak kciukami.

Nie pobiła rekordu, ale kiedy Kesnick wciągnął ją na pokład śmigłowca, widziała, że załoga jest zadowolona. Może nie zachwycona, ale zadowolona. To był mały krok naprzód.

Komandor porucznik Wilson nadal wyglądał na zniecierpliwionego. Liz ledwie złapała oddech, ale zdjęła kask ratownika i włożyła kask lotniczy z zainstalowanym systemem łączności. Usłyszała Wilsona, który akurat instruował Kesnicka, żeby otworzył łódkę.

– Nie powinniśmy z tym zaczekać? – dyplomatycznie zaoponował Kesnick.

– Nie jest zamknięta na klucz. Tylko zerkniemy.

Liz odsunęła się z drogi, zdejmując resztę sprzętu. Nie chciała brać w tym udziału. Jej rola dobiegła końca.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [e-booksweb.pl - audiobooki, e-booki](#).